

Irlandia, czyli Polska

ROMAN PAWŁOWSKI

Nazywa się Martin McDonagh, ma 29 lat i żądał już obrazić Seana Connery, czyli agenta 007, któremu na ceremonii rozdania nagród teatralnych The Evening Standard powiedział „fuck you”. Jednocześnie pisze krwiste sztuki, których akcja rozgrywa się w Irlandii, ale właściwie mogłaby dzieć się wszędzie, gdzie ludzie kochają się i nienawidzą, rodzą i umierają. Jego sztuka „Kaleka z Inishmaan”, której prapremierę dał Teatr Powszechny, musi dać do myślenia wielu polskim dramaturgom, którzy wiedzą o świecie czerpią z bibliotek i tam umieszczają akcję swych sztuk. McDonagh swój dramat oparł na obserwacji realnego życia. Jego akcja rozgrywa się w latach 30. na wyspie u zachodnich wybrzeży Irlandii, bohaterowie mówią specyficznym językiem, w którym patos miesza się z przekleństwami, a nad całym światem przedstawionym unosi się duszna atmosfera prowincji. Efekt: ani na chwilę nie przestajemy wierzyć aktorom, zapominamy o Irlandii, myślimy o naszej prowincji, także tej w Warszawie.



DLaczego tak bliscy są nam mieszkańcy Inishmaan? Bo pragną wyrwać się ze swojej szarej wyspy, a jednocześnie, kiedy w końcu ją opuszczają, marzą o powrocie. Bo nic nie robią ze swoim życiem, licząc na szczęśliwy traf. Bo marzą o Ameryce, nic o niej nie wiedząc. Bo żyją przeszłością, ale nie potrafią jej zrozumieć. Bo o swoim narodowym bohaterstwie przypominają sobie w najmniej oczekiwanych chwilach. Jedną z bohaterek, piękna i jędzowata Helen, daje swemu bratu lekcję historii Irlandii. „Będziesz Irlandią, ja będę Anglią” mówi i rozbija mu na czole po kolei trzy jajka. Brat znosi zniewagę z honorem. „Každy Irlandczyk daje kiedyś odpór ciemnościom” – mówi. Jak widać, znowu polską sztukę współczesną napisał Brytyjczyk.

Przedstawienie Agnieszki Glińskiej i Władysława Kowalskiego jest w związku z tym tyle irlandzkie, co polskie. Z głośników leżą irlandzkie ballady, ale już sklep, w którym dzieje się większość scen, mógłby istnieć wszędzie, z tymi jajkami w misce i cukierkami w głębokiej, szklanej kuli. Wnętrze sklepu otwiera się na brzeg morza z łodzią i rybacką szopą. Tak może wyglądać plaża i w Inishmaan, i w Darłowie. W ten prowincjonalny klimat aktorzy wchodzi jak w wodę. Nie każą się podziwiać ani nie starają się być piękni, jak to zwykle w stolicy bywa, grają prawdę o ludziach równie surowych, jak ich kraj, i nie boją się być śmieszni. Czołowy amant Powszechnego Rafał Królikowski (Bartley) wypuścił koszulę ze spodni, siedzi w kucki i daje sobie rozbijać jajka na twarzy. Zgarbiony Władysław Kowalski w wełnianej czapce, z workiem na plecach wygląda jak żebrak spod kościoła – w istocie żebrze, ale o plotki, które później sprzedaje za żywność. Michał Zieliński jako gburowaty Bobby używa swego niskiego, pięknie ustawionego głosu do odstraszenia innych. Ale największą niespodziankę sprawiła Edyta Olszówka. Kiedy jako Narwana Helen wchodzi, szurając klapkami, i siada na ladzie, rozkładając nogi, a następnie przeklina ostrym głosem, znika stołeczna aktorka, pojawia się dziewczyna z prowincji, beczelna i pyskata, która pod grubiaństwami ukrywa pragnienie miłości. Na tle tej bandy gburów, wariatów i plotkarzy tytułowy kaleka Billy wygląda, paradoksalnie, na jedyne zdrowego. Łukasz Garlicki, student Akademii Teatralnej, zagrał go dojrzałe, jego Billy maskuje cierpienie nerwowym śmiechem, w końcu jednak pokorny Billy pęka i jest to może największa scena sztuki, kiedy Garlicki krzyczy na Helen, proponując przerażonej dziewczynie randkę.

Spektakl Glińskiej i Kowalskiego nie jest efektowną inscenizacją, nie ma tu koncertowych ról, wielkiej literatury ani gwiazdorstwa. Grają go na małej scenie, z pomniejszoną widownią, bo trzeba było zrobić miejsce na plażę. Mimo to, a może dlatego spektakl ten jest, wielkim haustem czystego powietrza. W czasach kiedy teatr mówi głównie o samym sobie, to skromne przedstawienie przypomina, że szare życie potrafi być stokroć barwniejsze od najbardziej barwnego teatru. Trzeba je tylko umieć złapać.